



## STEFANIA CHMIELEWSKA

Warszawa, 22 stycznia 1948 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, sędzia Halina Wereńko, przesłuchiwała niżej wymienioną w charakterze świadka, bez przysięgi. Upředzona o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznała, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Stefania Chmielewska
Stan cywilny	niezamężna
Imiona rodziców	Walenty i Maria z d. Żaglewska
Data urodzenia	22 marca 1898 r. w Płocku
Wyznanie	rzymskokatolickie
Wykształcenie	średnie
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Solec 36, Zakład św. Franciszka Salezego
Przynależność państwowa i narodowość	polska
Zawód	handlowiec

---

Wybuch powstania warszawskiego zastał mnie w moim sklepie artystycznych haftów kościelnych przy ulicy Krakowskie Przedmieście 61 w Warszawie. Nasz dom miał wyjście na Krakowskie Przedmieście, a okna wychodziły także na ulicę Kozią. Powstańcy od początku opanowali Kozią, oddziały niemieckie ostrzeliwały ich pozycję z Krakowskiego Przedmieścia z rogu Trębackiej i Miodowej. Krakowskim Przedmieściem jeździły czołgi. Z czołgów i karabinu maszynowego ustawionego na dachu domu, gdzie mieści się Rada Ministrów (Krakowskie Przedmieście nr... [46/48]) strzelano w kierunku ulicy Koziej i do każdego, kto się ukazał na Krakowskim Przedmieściu. Po tym, jak powstańcy 1 sierpnia spalili czołg,

rzucając butelkę z benzyną, żołnierze niemieccy wpadli do bramy domu numer 63 przy ulicy Krakowskie Przedmieście i rzucili granat na korytarz koło mieszkania dozorca, powodując pożar. 3 sierpnia oddział niemiecki odrutował bramę przy wejściu do Saskiego Hotelu (róg ulicy Krakowskie Przedmieście i Trębackiej), podpalając kompleks domów po nieparzystej stronie Krakowskiego Przedmieścia od rogu ulicy Trębackiej aż do Miodowej. Wtedy nocą z 3 na 4 sierpnia z grupą ludności z podpalonych domów wyszłam przez okno pierwszego piętra przy pomocy drabiny na ulicę Kozią, a stąd przedostałam się do domu numer 11 przy Miodowej. Po kilku dniach powstańcy nakazali ludności opuszczenie domu, w którym się zatrzymałam, ze względu na to, iż mieli tu postawić barykadę. Wtedy udałam się na Stare Miasto.

6 czy 7 sierpnia (daty dokładnie nie pamiętam) przybyłam z mym siostrzeńcem, księdzem Wacławem Ośko (zamieszkałym obecnie we wsi Pilczyca, poczta Słupia koło Końskich) i jeszcze czterema osobami z rodziny do Zakładu św. Stanisława, mieszczącego się przy ulicy Przyrynek 4. Przed wojną ten zakład mieścił się przy ulicy Dzielnej, w okresie tworzenia getta władze niemieckie przeniosły go początkowo na Górczewską, potem na Przyrynek. Był to zakład dla staruszek i dziewczynek kalek (przeważnie garbatych), prowadzony przez szarytki. Przełożoną była siostra Aurelia Pomierny. Prócz niej było tam jeszcze osiem sióstr. Zofia Kowalczyk (staruszka mająca 55 lat służby zakonnej), Anna Moc – kierowniczka pracowni, Maria Wilman, Helena Jezierska, Zofia, Józefa, Maria. W chwili mego przybycia do zakładu mogło tam być 80 do 90 staruszek, dziewczynek kalek 50 do 60. Siostry prowadziły pracownię szycia i haftu, którą kierowało sześć młodych zdrowych dziewcząt. Mając sklep haftów artystycznych, celem poparcia zakładu robiłam w pracowni zamówienia i stąd powstała bliższa znajomość z nim. W zakładzie, oprócz sióstr, pensjonariuszek, służby i mojej grupy, przebywała jeszcze inna grupa ludności cywilnej. Między innymi znajdowali się tam: mecenasowa Irena Kąkolewska (zamieszkała obecnie na Żoliborzu przy ul. Śmiałej 43), syn mgr. Gobięca, ksiądz Stanisław Lewarski, obecnie proboszcz w Złotokłosie koło Piaseczna, który przybył na Stare Miasto w ten sposób, że przeczołgał się przez barykadę; był tu uprzednio w kościele św. Antoniego przy Senatorskiej i widział rozstrzelanie księdza Trzeciaka i postrzelenie księdza Żelazowskiego proboszcza kościoła św. Teresy przy Tamce. Gdy pomagałam w roznoszeniu porcji żywności, siostra przełożona mówiła mi, że w zakładzie przebywają 203 osoby. Zakład mieścił się przy kościele Najświętszej Marii Panny. W tym samym domu, w innej oficynie mieścił się świecki zakład dla staruszek.

Ile ich było, nie wiem. Słyszałam, że kierownik tego zakładu wcześniej uciekł do Śródmieścia, staruszki były bez opieki. Kilka z nich przychodziło do naszego zakładu, inne chroniły się wraz z grupą około 1500 osób ludności cywilnej z okolicznych domów, najwięcej z ulicy Rybaki i znad Wisły, w podziemiach kościoła. Dom nasz był położony blisko gmachu Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, o którą toczyły się zacięte walki, byliśmy więc stale pod ostrzałem.

29 sierpnia około południa, po zajęciu Wytwórni Papierów Wartościowych, wpadł do zakładu oddział niemiecki. Na formacjach wojskowych nie znam się, ludzie mówili, że był to oddział SS. Żołnierze zachowywali się brutalnie, kazali obecnym natychmiast wychodzić (*raus*). Wyszłam jedna z pierwszych wraz z rodziną i ludnością cywilną do ogródka przylegającego do kościoła [i] przez zburzony bombami przytułek świecki na ulicę Przyrynek. Będąc w ogródku, widziałam stłoczoną pod kościołem grupę staruszek ze schroniska świeckiego. Gdy pędzono naszą grupę w kierunku Cytadeli, dopędziły nas grupy ludności cywilnej, wyrzuconej z kościoła Najświętszej Marii Panny i siostry naszego zakładu z pensjonariuszkami. Ktoś z ludności cywilnej (nazwiska nie pamiętam) opowiedział mi, iż staruszki z zakładu świeckiego zostały w kościele rozstrzelane z karabinu maszynowego. W czasie tej egzekucji wiele osób z ludności cywilnej odniosło rany postrzałowe – tych rannych widziałam potem w szkole przy ul. Stawki. Dopędziła mnie przełożona Zakładu św. Stanisława siostra Aurelia Pomierny i siostra Kowalczyk. Siostra Aurelia opowiedziała, iż wyszła z Zakładu z ostatnią grupą staruszek i kalek, że w w kapliczce urządzonej w piwnicy, pozostało 18 staruszek chorych i słabych niezdolnych do marszu. Siostra Zofia Kowalczyk (jubilatka) prosiła żołnierzy, by pozwolili jej pozostać ze staruszkami. I stało się tak, że jeden zezwolił, a drugi wyrzucił ją, mówiąc: „– My się nimi zaopiekujemy”. Zaledwie siostra Kowalczyk wyszła na podwórze, żołnierze do kaplicy rzucili granaty przez okna wychodzące na podwórze. W marcu 1945 roku razem z Wacławem Domienieckim (artystą opery w Katowicach) przybyłam na teren Zakładu św. Stanisława. Widziałam wtedy, iż dom był wypalony, a w piwnicy, gdzie była urządzona kapliczka, leżały szczątki niedopalonych ludzkich kości, czaszki, golenie i prochy.

W kościele Najświętszej Marii Panny wyrzucał [ludzi] oddział SS. Na ulicy Przyrynek przejął nas oddział żołnierzy w mundurach niemieckich mówiących po rosyjsku czy ukraińsku. W marszu „Ukraińcy” nas ograbili. Widziałam, jak oficer „Ukraińiec” wyrwał z rąk matki dziewczynę może 14-letnią. Ona po pewnym czasie dopędziła grupę, obie z matką płakały, a dziewczynka mówiła, że oficer ją zgwałcił. Nazwisk tych kobiet nie znam. „Ukraińcy”

zachowywali się brutalnie, popychali idących, jeden z nich zrzucił ks. Ośce kapelusz. Zaprowadzono nas do szkoły przy ulicy Stawki, gdzie od „Ukraińców” przejęli nas żołnierze niemieccy. Formacji nie rozpoznałam. Na noc stłoczono nas wszystkich w sali szkolnej i zamknięto. Wielu rannych spod kościoła Najświętszej Marii Panny zostało bez pomocy.

30 sierpnia rano przed szkołę zajęchało cztery czy pięć (dokładnie nie pamiętam) samochodów ciężarowych. Żołnierze niemieccy ogłosili nam, iż kto jest ranny, słaby, nie może chodzić, zostanie przewieziony na Dworzec Zachodni. Zgłaszających się do samochodów ładowano luźno i wygodnie. Do samochodu chciała wsiąść siostra Moc, chora na serce, którą uprzednio prowadziłam. W chwili, gdy zbliżyliśmy się do samochodu, jeden z żołnierzy powiedział mi po cichu, używając języka polskiego: „– Proszę siostry tam nie wsadzać”. Wtedy domyśliłam się, iż wiozą tych ludzi na rozstrzelanie, więc siostrę zatrzymałam przy sobie. Samochody odjechały w stronę Cmentarza Powązkowskiego. O ile mi wiadomo, z grupy tej nikt się nie znalazł.

Naczelnym zgromadzeniem szarytek jest Zakład św. Kazimierza przy ulicy Tamka w Warszawie. Staruszki z zakładu św. Stanisława i dziewczynki kaleki na pewno by się tam zgłosiły.

Pozostałych nas ustawiono parami i zaprowadzono na ulicę Okopową. Zatrzymaliśmy się przed fabryką Pfeiffera. Idąc Okopową, słyszałam odgłosy salw jakby karabinów maszynowych od strony Cmentarza Żydowskiego. Wydawało mi się, że słyszę także jęki. To samo słyszały garbuski z Zakładu i moja siostrzenica Amelia Ptakowa (zamieszkała obecnie u księdza Ośko). Ksiądz słyszał tylko strzały. Wprowadzono nas na podwórze i ustawiono rodzinami. Oficer SS (formację ustalił ksiądz Ośko i inni obecni) przeprowadził selekcję. W ogrodzie przedzielonym siatką ustawiono dwie grupy: bliżej ulicy Okopowej grupę, gdzie ja się znalazłam, za siatką staruszki i kaleki z zakładu, siostry, osoby starsze z ludności cywilnej, razem ponad trzysta osób. Prosiłam oficera, by nie rozdzielał mojej grupy z siostrami z zakładu. Zapytał wtedy: „– Chcecie pracować?”. Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, kazał nam dołączyć do grupy młodych.

W ogrodzie trzymano nas do 17.00, nie dając żywności ani wody. Marchew w ogródku była już wykopana, ale głodne dzieci wynajdywały pozostawione nieliczne marchewki. Żołnierze niemieccy pilnujący nas odbierali im to. Panował upał, dzieci i kobiety mdlały. Żołnierze nie dopuścili nikogo z nas do pompy w ogrodzie. Widziałam, iż komendant grupy niemieckiej na terenie fabryki Pfeiffera przychodził i odchodził do domu w głębi podwórza, sądzę, że tam

mieściło się dowództwo. Około 17.00 żołnierze niemieccy zabrali z ogródka osiem sióstr i zaprowadzili je do komendanta. Staruszki i kaleki dziewczynki wołały za nimi, prosząc, by nie odchodziły, bo bez sióstr one zostaną rozstrzelane. Siostra Aurelia odpowiedziała na to, iż nie opuści ich, i o ile zostaną rozstrzelane, to wszystkie razem.

Zaraz po odejściu sióstr naszą grupę wyprowadzono i więcej nikogo z Zakładu św. Stanisława nie spotkałam. Przypuszczam, iż Niemcy chcieli zwolnić siostry i że one nie zgodziły się na pozostawienie podopiecznych.

Uprzednio umówiłam się z siostrami i dziewczynkami, gdzie się spotkamy po wyjściu z Warszawy. Rozdałam wtedy dziewczynkom po kilka tysięcy złotych, z warunkiem, iż one oddadzą mi je, jeżeli przeżyjemy i spotkamy się poza Warszawą. Siostra Aurelia dała mi adres swojej matki w Częstochowie, ja im podałam adres swoich znajomych poza Warszawą. Mimo to dotychczas nikt z tej grupy nie dał znaku życia. W Zakładzie św. Kazimierza w centralnym domu szarytek także nie mają o tej grupie żadnych wiadomości.

Naszą grupę z fabryki Pfeiffera wyprowadzili żołnierze, z których niektórzy mieli opaski nad mankietami munduru (treści napisu opasek nie odczytałam). Wychodząc na ulicę Okopową, słyszałam od strony Cmentarza Żydowskiego ponownie odgłosy salw z karabinu maszynowego. Ustawiono nas czwórkami i zaprowadzono do kościoła św. Wojciecha, skąd pieszo odprowadzono na Dworzec Zachodni. Na chwilę przed odjazdem pociągu kilku gestapowców przybyłych na stację wyciągnęło z transportu pięciu mężczyzn i dwie kobiety, w tym mnie i księdza Ośko, oznajmiając nam, iż będziemy przemawiać przez megafony do ludności cywilnej, by wychodziła ze Starego Miasta, że Niemcy nikogo nie rozstrzelują. Zabrali nas do samochodu, mówiąc, że jedziemy do Komendy Miasta. Przyjechaliśmy na plebanię obok kościoła św. Wojciecha przy ulicy Wolskiej. Zorientowałam się na miejscu, iż mieści się tu gestapo. Zaprowadzono nas do komendanta, nazwiska którego nie mogłam ustalić. Był to mężczyzna w wieku lat około 40, wysoki, dobrze zbudowany, blondyn o niebieskich oczach o mętnym wyrazie. Chodził ze szpicrutą. Ponieważ megafony zepsuły się, kazano nam składać zeznania do protokołów. Pytano nas, skąd jesteśmy, gdzie przebywaliśmy, jakie są nasze poglądy na powstanie. W pokoju, oprócz komendanta, znajdowało się jeszcze dwóch gestapowców – jeden zadawał pytania, drugi pisał na maszynie. Komendant w czasie przesłuchania często wychodził na korytarz i do innych pokoi. Gdy wyszedł, zaraz słyszałam jęki i krzyki. Na korytarzu klęczała twarzą do ściany

grupa kilku młodych mężczyzn do połowy obnażonych i dziewczyna w łachmanach. Mężczyźni mieli ręce związane w tył drutem kolczastym. Na ciele mieli ślady pobicia, sińce i krew. Gdy po przesłuchaniu wyprowadzono nas na korytarz, ustawiono nas naprzeciwko klęczących. Komendant obserwował nasze miny. Widziałam, jak komendant, wychodząc na korytarz, bił mężczyzn szpicrutą. Widziałam, stojąc już na korytarzu, jak z pokoju komendanta (gdzie nas uprzednio badano) gestapowcy wyprowadzili mężczyznę strasznie pobitego. Odprowadzono go do magazynu stojącego na podwórku plebanii. Magazyn miał okna otwarte, widziałam za kratami twarze młodych mężczyzn i kobiet. Przy nas komendant pytał młodą dziewczynę okrywającą się łachmanami, czemu poszła do powstania? Odpowiedziała, iż poszła walczyć przeciwko Niemcom, którzy nas mordują. Powiedział wtedy: „– Czy wiesz, co cię za to czeka? Gdyby cię zwolniono, czy znowu walczyłybyś przeciwko Niemcom?”. Dziewczyna odpowiedziała twierdząco. Komendant porozumiewał się przez tłumacza, [ale] odniosłam wrażenie, że rozumie po polsku.

Jaki los spotkał tę grupę, nie wiem. Wieczorem wyprowadzono nas na podwórze i nakarmiono. Tymczasem do kościoła świętego Wojciecha przybyło ze Starego Miasta kilka tysięcy ludności cywilnej. Zaczęliśmy podawać im wodę, ale wówczas gestapowcy wypędzili nas z podwórza i przyłączyli do grupy.

Na tym protokół zakończono i odczytano.